

Zarobki w tartaku są małe. Nie wystarczają na wszystko. Zatrudnieni w przedsiębiorstwie mają prawo do uprawy ziemi, należącej do właściciela fabryki drewna. Na każdą rodzinę przypada osiem redlin znajdujących się między kościołem i lasem. Nadal chowają świnie. Podobnie jak przodkowie, także zbierają żołądzie oraz owoce jarzębiny. Dzięki temu mają własne mięso i tłuszcz. Kilkaset główek kapusty i kartofle dopełniają zimowy jadłospis. To pozwala tym biednym ludziom przeżyć. Pomagam im jak potrafię. Wyhodowałem szybko rosnącą odmianę, która doskonale trawi żołądzie. Każdej wiosny zbieram zamówienia i sprzedaję prosięta. Moje maciory rodzą tyle, ile mieszkańcy osady zakontraktują.

— Czy jesteś jasnowidzem? – zmienił temat cudzoziemiec

— Nie. Czemu pytasz?

— Zwróciłeś uwagę na brak aury u kowala.

— Jestem filozofem. Widzę trochę więcej niż inni ludzie. To wszystko.

— Wyjechałeś po nas, choć nie otrzymałeś żadnej informacji.

— Dostrzegłem was idących przez tajgę. Kierunek trasy prowadził do mnie. Szybko traciliście siły.

— A twoje psy pociągowem co to za rasa?

— To też wynik hodowli. Rozpoczął ją człowiek, który był Świniopasem na początku zeszłego wieku. Podczas jednej ze srogich zim, uratował miot wilczych szczeniąt, urodzonych później niż zwykle. W wyniku odpowiedniego doboru samic i samców, pojawiały się kolejne pokolenia, które stawały się coraz mniej dzikie. W końcu wyeliminował agresję. Wyprowadził linię wilkopsów, większych i silniejszych od zwierząt dziko zamieszkujących te tereny. Ponadto łagodnych.

— Nieprawdopodobne.

— To neotenia. Zachowanie cech przypisanych osobnikom młodym. One nie stworzą groźnej watahy. W warunkach naturalnych zginęłyby z głodu. Są bardzo inteligentne i wytrwałe. Potrafią obronić farmę przed atakiem z zewnątrz. To moi przyjaciele.

Zapadła chwila milczenia.

— Pytasz o mało ważne sprawy – zauważył nagle stary człowiek.

— Są niezmiernie ciekawe.

— To detale. Hodowla świń, czy psów i metody tu stosowane to tylko wykorzystanie pokoleniowej wiedzy. W miejscu, w którym mieszkamy, posiadanie jej jest nieodzowne do przetrwania. To, co w dużych miastach jest w zasięgu ręki, jedzenie i ubranie, na odludziu musimy zdobywać, poświęcając na to większość danego nam czasu.

— Wróćmy do twoich nadprzyrodzonych zdolności.

— Nie są nadprzyrodzone.

— To skromność każe ci tak mówić?

— Taki się już urodziłem. Moją zasługą jest rozwinięcie niektórych zmysłów. To wszystko.

— Mając takie możliwości, mógłbyś być bogaty. Żyć w luksusie.

— Jestem bogaty i żyję w luksusie. Mam własną chałtę i dobrze prosperującą hodowlę. Codziennie rano, gdy dociera do mnie zapach świń, czuję się szczęśliwy. One zabezpieczają mój byt.

— Nie poznałeś jeszcze, co mogą dać pieniądze.

— I nie chcę poznać. Widzę ciebie, to wystarczy.

— Mnie? – zapytał zdziwiony.

— Zasoby, które posiadasz, nie pozwalają ci patrzeć na świat w sposób naturalny. Właśnie zafundowałeś sobie ucieczkę od lęków, masowo wylęgających się w niezdrowej atmosferze zurbanizowanego świata.

— Skąd wiesz?

— Widziałem upadek samolotu i wściekłość Konstantego, któremu po raz kolejny nie było dane zrobić porządków w zakrystii, bo musiał cię ratować. Jeżeli właściwie zinterpretować to zdarzenie, można przyjąć, że to było przeznaczone mnie.

— Miałem wypadek po to, aby poznać was i życie na Syberii?

— Wydaje mi się, że nie o to chodzi.

— No to, o co?

— O przywiązanie się księdza do porządków w przylegającym do kościoła pomieszczeniu. O wciąż niedokończone sprzątanie. Widocznie powinien zająć się ważniejszymi sprawami.

— Dlatego spadłem?

— Tak czy inaczej, miałeś szczęście. Gdyby nie chodziło o zwrócenie proboszczowi uwagi, może runąłbyś między drzewa. Tak mogłoby się stać, gdyby człowiek zapominał nad bałaganem. Jeśli mógłby robić to, co chce, a nie to, co powinien.

— Przesadzasz.

— Jest jeszcze jedna ewentualność. Ktoś do ciebie mówi. Póki co, ty niczego nie słyszysz. Jeszcze jesteś głuchy.

Amerikanin zamilkł zdeglustowany. Tubylec opowiadał bzdury. Owszem, miał niezwykle zdolności, które uważał za naturalnie mu przypisane. To musiało wpłynąć na wypaczenie postrzegania otaczającego go świata. Lata w samotności, wśród wieprzków i psów także zrobiły swoje. Pewnie cierpi na łagodną formę paranoi, wobec czego interpretuje wszystko, co się wokół niego dzieje na swój sposób. Podobnie jak w przypadku duchownego, jest to jeszcze jeden przykład deformacji psychiki w wyniku odosobnienia. Tyle tylko, że ten wygląda na znacznie bardziej zaawansowany.

Jakikolwiek komentarz ze strony inżyniera-sceptyka nie miał sensu. Po co narażać się na długie dyskusje, w których jego racjonalne argumenty trafiają w próżnię. Przerobił to już z proboszczem. Zamilkł. Przynajmniej na razie.

Gospodarz chaty poinformował przybyłych, że nadszedł czas na posiłek. Poprosił ich o wsparcie w przygotowaniach. I znowu zdziwienie. Kolacja miała być dla świń. Worek ziemniaków i pół wiadra wody znalazło się w kotle ze szczelnie zamykaną, zakręcaną na śrubę pokrywą. Pod parnikiem (taką nazwę nosił ów wielki garnek) podpalony został palnik gazowy. Paliwem był lokalnie produkowany z odchodów zwierząt metan. Niemiła woń wypełniła pomieszczenie. Kiedy sprężona para odchyliła zawór bezpieczeństwa, z sykiem wydostając się na zewnątrz, zmniejszyli płomień i wrócili do domu.

Siwobrody regularnie doglądał nieprzytomnego. Opatrzył rozległe rany na szyi. Okrył go kocem i otarł pot z szerokiego czoła. Zimną wodą zwilżył wyschnięte usta.

Przybysz z dalekiego kraju zadał pytanie, które mieszkańcom tajgi wydało się osobliwe:

— Czy nie powinniśmy zawiadomić pogotowia albo zadzwonić do najbliższego szpitala?

Głos starca długo brzmiał mu w uszach. Trudno było dać wiarę temu, co usłyszał:

— Tu nie ma żadnych służb. Jeden milicjant, nawet nie pilnuje porządku, tylko spisuje protokoły z wypadków i proboszcz, który jest medykiem po kilku kursach zakończonych dyplomem pielęgniarza. No i ja. Również potrafię udzielić pierwszej pomocy, ale stąd zbyt daleko do osady, aby śpieszyć z ratunkiem.

— On potrzebuje fachowej opieki.

— Gdyby tak było, obydwaj z Konstantym nic innego byśmy nie robili.

- Wykrwawi się.
- Nie umrze od zadanych ran. Ale nie przeżyje nocy.
- Jesteście jak maszyny – wykrzyknął z oburzeniem.
- Rozumiem, że nic tutaj nie jest łatwe, ale ludzkie istnienie, to sprawa nadrzędna.
 - Absolutnie najważniejsza.
 - Pomimo to, kowala zostawiacie swojemu losowi.
 - Ostatnio zdarzyły się dwa przypadki uratowania życia w tym regionie. Najpierw nasz duszpasterz pomógł tobie, a dziś ja ocaliłem was obu. Wiesz dlaczego? Albowiem człowiek jest dla nas wszystkich najważniejszy. Tak to odbieramy. Ten biedak, o którego tak walczysz, już oddał ducha.
 - Oddycha i bije mu serce.
 - Pracuje też jego mózg.
 - Z punktu widzenia nowoczesnej... – zastanowił się chwilę – a nawet i tej, starożytnej medycyny, jeszcze nie umarł.
 - Badacze przemian biochemicznych roszczą sobie prawo do ustalania granic dotyczących życia i śmierci. To zuchwalcy.
 - Opierają się na wiekach doświadczeń, skomplikowanej aparaturze i doskonałej, wieloletniej edukacji. To mądrzy ludzie.
 - Samo ciało nie poradzi sobie. Pomimo to, będziemy je pielęgnować aż do końca. Dusza jest już daleko. Nie wróci do niego.
 - Rzeczywiście jesteś filozofem. Swoje teorie opierasz na wymysłach.
 - Kąśliwe uwagi nie wyprowadziły starca z równowagi. Nie pojawił się u niego nawet cień zdenerwowania.
 - Każdy może mnie oceniać jak chce – westchnął.
 - Ma do tego prawo. Ale, gdy jest tutaj, musi robić to, co ja mu każę. Teraz pomożecie mi nakarmić świnię,

po tym zrobimy porządek w chlewni. Przed snem coś przekąsimy.

Dwanaście dużych kartofli zostało włożonych do metalowej miski. Pozostałe ugnietli, mieszając je ze śrutą zrobioną z rozdrobnionych w młynku żołądzi. Na koniec polano je wodą.

Zwierzęta głośno kwiczały. Charakterystyczny dźwięk otwieranych drzwi i zapach paszyspowodowały eskalację głodu. Zarówno tuczniaki, jak i tłuste maciory oraz dwa ogromne knury cichły w miarę, jak otrzymywały pokarm. Jadły łapczywie, odpychając się wzajemnie od koryta.

Gnój usuwali widłami. Wkładali go na taczkę i wywozili na przymę znajdującą się poza budynkiem. Wrzucione do chlewa snopy świeżej słomy, utworzyły suche i przyjemne posłania dla najedzonych świń. Zwierzęta chrumkając, kładły się spać.

Umyli się w poobijanej miednicy. Przygotowali kolację. Tym razem dla ludzi. Po cztery kartofle na osobę. Kroili je w plastry i smarowali masłem. Posiłek popili mlekiem.

W środku nocy kowal, a właściwie jego ciało usiadło na łóżku, zapytało donośnym głosem, co się stało i gdzie się znajduje, po czym przestało funkcjonować.

Świniopas stwierdził, że rano go pochowają. Poradził też przyjezdnemu, by poprosił księdza o kilka dobrych rad dotyczących kowalstwa. Wyjaśnił, że klecha zna się na pracy w kuźni i doskonale poradzi sobie z uszkodzoną płożą, pod warunkiem, że będzie chciał to zrobić. Obcokrajowiec skinął tylko głową i wtulił się w skóry legowiska. Od pieca promieniowało przyjemne ciepło. Obecność nieboszczyka nie przeszkadzała nikomu.

Na pożegnanie Świniopas długo trzymał rękę przyjezdnego, pokrytą świeżymi jeszcze pęcherzami. Patrzył mu w oczy, próbując wyczytać z nich przyszłość...

* * *

GRUMMI poczuł przyływ pozytywnej energii. Na kilka milisekund zawitał do jaźni śmiertelnika, by zaraz wycofać się do ukrytego w podświadomości mieszkania. Pełen nieprzyjemnych doznań zwinął się w kłębek, do najmniejszych możliwych rozmiarów i ponownie wprowadził się w głęboki letarg.

* * *

Słowa, które padły z ust starca, zaskoczyły przybysza:
— Kiedy do mnie przyjdiesz po Nowym Roku, przyńś ze sobą whisky. Masz butelkę w samolocie.

— Naprawdę sądzisz, że będę przedzierał się przez las, aby znów cię odwiedzić?

— Nie będziesz miał innego wyjścia.

— Nie rozumiem.

— Gdy obudzi się w tobie demon, zaczniesz szaleć. Jeśli sam nie przybędziesz, oni zwiążą cię postronkami i do mnie przywiozą.

— Demon? Jacy Oni?

— Duch w tobie mieszka i jest już aktywny. Niedługo doświadczysz jego obecności. Oni, to ludzie z osady.

— Bzdury...

Świniopas zmienił temat:

— Naucz też latać dobrodzieja, który cię przygarnął pod swój dach. Odpłać mu za gościnność. On jest zdolny, szybko opanuje tę sztukę.

— Po co?

— Teraz, kiedy urosła ci broda, staliście się do siebie bardzo podobni.

— I co z tego?

— Wyglądacie jak bracia.

— Mimo wszystko, w jakim celu mam go uczyć latania?

— Nie wiem, po co, ale wiem, że tak trzeba. Pamiętaj o whisky.

Duchowny zbliżył się do rozmawiających. Zakończył obrządek pogrzebu. Ciało siłacza zostało pochowane zaraz za ścianą chlewni. Tam ziemia była miękka, dzięki czemu można było wykopać głęboki dół. Wiosną nie trzeba będzie zakopywać go ponownie.

* * *

AMERYKANIN nie mógł zrozumieć, dlaczego wspinają się na wzgórze, i to najwyższe w okolicy. Równie dobrze mogli je obejść. W ten sposób szybciej dotarliby do drogi prowadzącej w dół do doliny.

Odpowiedź, która padła z ust proboszcza, nie była zaskoczeniem. Zdążył się już przyzwyczaić do miejscowych dziwactw. Dłuższą i wymagającą sporego wysiłku drogę wybrał dla nich Świniopas. Stary człowiek zaproponował coś, co z logicznego punktu widzenia nie miało sensu.

Polecenie filozofa miało jednak racjonalne podstawy. Uczestnicy wycieczki nie musieli tego rozumieć. Ich zadaniem było poznanie nowych, nieznanych dotychczas wrażeń oraz konfrontacja z własną słabością. Aby pokonać chorobę, najpierw trzeba ją zdiagnozować; w szczególności, jeśli jest to dolegliwość duszy.

Stanął na szczycie. W dole rozpościerała się ogromna kotlina. Zarówno ze wschodniej, jak i zachodniej strony zwężała się i przechodziła w wąwóz o wysokich, skalistych ścianach. Na przeciwległej grani niecki znajdowała się parafia. Ledwie widoczny drewniany kościółek z przylegającą do niego chatą. Małe pudełeczko z pociemniałego ze starości drewna. Z tej odległości nie

można było dostrzec krzyża. Niewidoczny był także, zasypany śniegiem samolot.

Z góry osada przypominała niestarannie zbudowaną makietę niewielkiego miasteczka. Dwa rzędy ulic połączone centralnym placem, na którym wyróżniał się pomalowany na zielono i nieco wyższy od pozostałych zabudowań, ratusz. Tuż za kolonią, na kawałku płaskiego terenu wzniesiono tartak. Fabryka drewna była ogrodzona wysokim płotem. Pięć budynków produkcyjnych usytuowanych obok siebie przytłaczało brzydota. Za nimi urządzono skład surowca oraz magazyny. Infrastruktura leśnego zakładu przemysłowego dawała ponure wrażenie. Brak estetyki i poczucie panującego bałaganu było wprost odpychające.

Lokalny biznes dawał zatrudnienie i tylko to się liczyło. Wobec stałej płacy, możliwości chowu świń i uprawy kartofli na położonych pod lasem redlinach, niewiele znaczył fakt, że pierwszy właściciel przedsiębiorstwa odkupił je w okresie rozpadu komunistycznej władzy za przysłowiowe grosze. Niektórzy mówią, że wygrał je od lokalnego urzędnika w karty. Niedługo po zmianach ustrojowych komisarz powiesił się, wobec czego jedyne źródło informacji na temat przejęcia fabryki przestało istnieć. Pozostały plotki i domysły. Wkrótce przyszły mrozy, co ostudziło i tak gasnące już emocje. Trzeba było zająć się przygotowaniem do zimy, aby przeżyć długie miesiące, kiedy ziemia pokryta jest śniegiem, zaś rzeka skuta lodem.

W ciągu dwóch dziesięcioleci przedsiębiorców było kilku. Żaden z nich nie wtrącał się w życie soła. Od pilnowania pracy, jak i przydziału ziemi pod uprawę kartofli, mieli zarządców.

Znajdujący się na wzniesieniu mężczyźni ujrzeli niecodzienny widok. Dziesiątki odcieni popielatej szarości na tle brudnego śniegu. Dym, leniwie wydostając się

z kominów, rozścielał się sinym dywanem, pokrywając znaczne przestrzenie. Dostojnie opadał, wciskając się pomiędzy śniegowe płatki, które nigdy już nie będą białe.

* * *

GRUMMI odprężył się. Już nie musiał się bać. Ten, który potrafił przeświecić ludzkie ciało i dostrzec w nim intruza, pozostał ze swoimi chrząkającymi przyjaciółmi w dalekiej kniei.

Westchnął z nadzieją. Przeżycia ostatnich dni nie należały do przyjemnych. Najpierw doznania związane z obecnością w obrzydliwej duszy okrutnego wilka, później chlewnia i Świniopas. Ohyda. Delikatnie rozpostarł swoje eteryczne ciało, przenikając przez umysł człowieka. Wspinaczka miała swój cel.

Weszli tu nie dlatego, aby ominąć jar, w którym można było zapaść się w lodowe szczeliny. Powodem nie były też narty, na których mieli zjechać ze wzgórza. Przybyli na szczyt, aby niedoświadczony prawdziwym życiem przedstawiciel zurbanizowanej społeczności, mógł zobaczyć, jak mała jest potęga rodzaju ludzkiego wobec władzy, którą może osiąść, jeśli tylko trochę się o nią postara. Z perspektywy zatłoczonej ulicy nie widać wielu wartości.

Samopoczucie ducha nie było najlepsze. Wciąż jeszcze dochodził do siebie. Pomimo to zmusił się do działania. Pomyślał, że jeśli uda mu się zaciemnić człowiekowi realny obraz otaczającego go świata, nasyci się jego upadkiem. Nabral przekonania, że nadszedł dobry moment, aby wydobyć do obszaru świadomości ofiary nowe dla niej doznanie; uczucie, jakiego nigdy jeszcze nie przeżyła. Choć obce, stanie się bardzo przyjemne. Na długo pozostanie w pamięci. Śmiertelnik zacznie do niego dążyć. Nie powstrzyma się przed wejściem na złą drogę. Sny o potędze nie dadzą mu spokoju.